



Maciej Mielus

ŁOWCY

MACIEJ MIELUS

ŁOWCY

© Copyright by Maciej Mielus &



ISBN 978-83-62480-68-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2010

ROZDZIAŁ 1

SEZON ŁOWIECKI

Jeleń nagle zatrzymał się i wbił wzrok gdzieś głęboko w las. Stał na niewielkiej polanie, tej pokrytej zieloną trawą wyspie pośrodku oceanu drzew, jaką stanowiły otaczające ją połacie gęstego lasu. Zwierzę było dorodnym samcem, z imponującym porożem i lśniącą brązem sierści. Przybył tu, by leniwie poskubać trawę, póki miała ten dekadentcki jesienny posmak, który wkrótce nieuchronnie zabije zima. Jednak nie zrobił tego, wyczuł wiszące w powietrzu zagrożenie i skupił się na weryfikacji swoich zmysłów. Co chwilę nerwowo, lecz zachowując przy tym dostojeństwo, przekreślał głowę, to w lewo, to w prawo, nastawiając uszu w poszukiwaniu najmniejszego dźwięku ruchu dochodzącego z lasu. Jego duży nos wyostrzył się na najślabszy zapaszek. Choć nie dostrzegł nic niepokojącego, był pewny, że jest obserwowany. Mówił mu to instynkt, jedyne, czym mógł się zawsze kierować na świecie pełnym czyhających na bezbronne zwierzę niebezpieczeństw. Czasami jednak ten szósty zmysł bywał mylący. Po minucie jeleń doszedł do wniosku, że padł ofiarą zwierzęcej paranoi i powrócił do swego pierwotnego celu wizyty na polanie. Pochylił głowę i chwycił zębami kępkę trawy. Nim zdążył ją przeżuć, huk rozerwał przestrzeń.

Zaskoczone zwierzę natychmiast poderwało się do ucieczki. Kolejny odgłos wystrzału wybuchł, gdy jeleń był już bliski linii drzew. Nie zwolnił tempa. Gdyby potrafił ogarnąć to wszystko umysłem, byłby zdumiony, że jeszcze żyje. Poczulby ulgę, gdy zniknął w cieniu drzew i umknął swym prześladowcom, kimkolwiek byli. Nie mógł tego zrobić, gdyż to uczucie było mu obce – w dzicy nie było czegoś takiego, jak pewność czy spokój. Nie zatrzymując się, pędził dalej w głąb lasu, wkładając w to całą siłę swych kopyt. Gdy już był daleko, na polanę weszły trzy postacie, a każda z nich trzymała broń.

Niespiesznie podeszli do miejsca, w którym stał jeleń, nim spłoszyły go strzały. Siwy, krępy mężczyzna w przypominającym mundur ubraniu koloru khaki i z identyczną pomarańczową kamizelką, jakie nosili jego kompani, przyklęknął i wodził oczami po ziemi w poszukiwaniu śladów. Po chwili zrezygnowany pokręcił głową, po czym odwrócił się do ludzi, którzy z nim przyszli, a teraz wpatrywali się w las, w miejsce, do którego uciekła im zwierzyna.

- Nic z tego. Ziemia tutaj jest za sucha na ślady - oznajmił, drapiąc się po pokrytej kilkudniowym zarostem brodzie

- Trudno, chyba go straciliśmy, ale Joan musi nauczyć się jakoś strzelać - powiedział raczej mizernie wyglądający młody mężczyzna o pociągłym chudym obliczu, wskazując stojącą obok siebie dziewczynę o sięgających jej wąskich ramion kruczoczarnych włosach.

- Mogła postrzelać sobie do puszek, w pobliżu osady - powiedział rozdrażniony starzec, tak jakby Joan przy nich nie było.

- Daj spokój, Ed, robisz się nieznośny na starość.

- On ma rację, David. Nie przygotowałam się do tego - odezwała się w końcu dziewczyna. Na twarzy starego myśliwego pojawił się wyraz satysfakcji, oddający jego poczucie wyższości, jakie dawało mu mienie racji. Poprawiło mu to nastrój.

- Nieważne. Innym chyba też niezbyt poszło. Ile słyszeliśmy strzałów w lesie?

Joan się zamyśliła. Głos zabrał David.

- Chyba trzy - powiedział niepewnie. Nie liczył strzałów roznoszących się leśnym echem, przywykł do nich w ciągu innych polowań. Ed też je ignorował, nauczył się wyłapywać tylko określone dźwięki. Tą zdolność nabył jeszcze w wietnamskiej dżungli, gdy w młodości walczył w przegranej sprawie, której nie rozumiał.

- Były cztery strzały. Jeden ze strzelby, a trzy ze sztucera - poprawiła go Joan, dla której ten wyjazd miał być nowym doświadczeniem i wielką przygodą. Tak przynajmniej zapewniał ją David, za którego ma niedługo wyjść. Do samego aktu polowania podchodziła z daleko idącą rezerwą. Nie do końca podobała jej się sama idea zabijania zwierząt dla sportu i nie przekonywały ją nawet argumenty, że myślistwo pomaga zachować równowagę w ekosystemie. Za to polubiła ludzi, którzy zjeżdżają się tu jesienią. Choćby dla nich warto było tu przyjechać.

Zdziwiła się, jak liczne towarzystwo bierze udział w łowach. W chwili, gdy ujrzała osadę – bo tak nazywano trzy zbudowane obok siebie chaty pośrodku lasu – służące niegdyś za miejsce zakwaterowania pracujących tu drwali – zdawało jej się, że będą mieli z Davidem jeden z budynków tylko dla siebie. To wrażenie uległo rozwianiu, gdy zaczęto jej przedstawiać ludzi.

Byli tam Tom i Amanda Ratner ze swoim piętnastoletnim synem Billem, dla których to były swego rodzaju spóźnione wakacje. W chacie z nimi mieszkał jeszcze George Jenkins, przyjaciel Toma, wielki, brodaty stolarz, który w swoich kraciastych flanelowych koszulach, wyglądał jakby te lasy były jego środowiskiem naturalnym.

W drugiej chacie przebywała prawdziwa elita intelektualna. Sami przedstawiciele klasy wyższej w średnim wieku: Ted Brice był prawnikiem, Brian Todd właścicielem firmy informatycznej, a John Shackling wykładał na uniwersytecie psychologię. Ta trójka cechowała się używaniem najdroższego sprzętu myśliwskiego, jaki był dostępny na rynku. Ed często kpił z nich, gdyż pomimo celowników optycznych i laserowych, używania różnych rodzajów amunicji, kamuflaży, najlepszych wabików, a nawet maskującego zapach środka w aerozolu, zazwyczaj wracali z polowania z pustymi rękoma. Mimo swojej łowieckiej niezdarności, a może właśnie dzięki niej, było w nich coś, co sprawiało, że nie sposób było ich nie lubić.

Ostatnią chatę zapelniali David, Joan, Ed Robertson, oraz Richard Usher – stary przyjaciel Eda, jeszcze z czasów wojny. Nie było go z nimi na polanie, gdyż zawsze wolał polować samotnie, twierdząc, że dzięki temu działa wydajniej.

Jedenaście osób, to już tłum, ale przynajmniej nie dało się narzekać na nudę, a przy cowieczornych ogniskach można było odbyć zajmujące rozmowy właściwie na każdy temat. Tak bardzo zróżnicowana była ta kompania.

– Wracamy do osady? – zapytał David.

Ed podciągnął rękaw i spojrzał na zegarek.

– Tak, niedługo zacznie się ściemniać, a odeszliśmy dalej niż zwykle – odpowiedział, po czym ruszył w stronę, z której przyszli. Za ich plecami słońce zaczęło chować się za linią drzew. Nim zanurzyli się w cieniu lasu, Joan obejrzała się. Na polanie stał jeleń, może nawet ten sam, którego chwilę wcześniej próbowała upolować. Zamiast unieść broń i oddać w jego kierunku strzał, jej usta rozciągnęły się w łagodnym

uśmiechu, a jej oczy mrugnęły do niego porozumiewawczo. Po tych gestach solidarności ze zwierzęciem, odwróciła głowę, aby pozostali go nie dostrzegli.

Nigdy wcześniej Joan nie miała tak bliskiej styczności z naturą, wychowana w metropolii, inaczej wyobrażała sobie leśną głuszę. W jej mocno ukształtowanej przez kinematografię wizji była bardziej zielona, podczas gdy w rzeczywistości okazała się wymalowana głównie odcieniami brązu i sieni. Drzewa okazały się częściowo opustoszałe z liści, niektóre straszyły swą całkowitą nagością, zdawały się być stare i uschnięte. Mimo to, nadal cały las pulsował życiem. Wiewiórki, jelenie, sarny, czy lisy – to wszystko było tu niezwykle popularne, a podczas jednego z ognisk Tom Ratner i George Jenkins sprzeczali się na temat plotek o stadzie wilków grasującym gdzieś w głębi lasu. Tym bardziej dziwiła się Richardowi, który tak bardzo upierał się przy polowaniu samemu. W razie kontaktu ze stadem wilków nie pomogłaby mu ani strzelba, ani też ucieczka. Śmierć w paszczach dzikich zwierząt była dla Joan wyjątkowo przerażającą perspektywą. Właściwie niczego bardziej nie bała się, od kiedy w dzieciństwie widziała w zoo karmienie piranii. Ich małe ząbki rozdzierały mięso, równie łatwo jak dziecko odrywające kawałki waty cukrowej. Na samo to wspomnienie przez jej ciało przeszły gwałtowne ciarki. Co gorsza leśna fauna wywoływała u niej ciągłe poczucie bycia obserwowaną, czuła jak wbija się w nią wzrok setek leśnych istot, śledzą każdy jej ruch, gotowe do ucieczki, gdy zbliży się do nich za blisko. Nawet dwulufowa strzelba w jej dłoniach nie dawała ukojenia w poczuciu bezpieczeństwa. Tylko obecność innych osób sprawiała, że strach nie wyszedł ze swego ukrycia, by nią owładnąć.

Przegoniła te myśli, niedługo wszyscy myśliwi zbiorą się dookoła ogniska i roztoczą niemal rodzinną atmosferę. Będą żarty, pieczone mięso, opowieści i anegdoty oraz ciepło ognia. Dwa dni temu, kiedy przyjechali tu z Davidem, najbardziej dokuczał jej nocny chłód, któremu nie dało się zaradzić. Jej ulubiona forma rozgrzania ciała, którą w innych okolicznościach praktykowałyby z Davidem, odpadała z powodu dwóch starszych sublokatorów ich chatki. Rozważała nawet możliwość spania w samochodzie, przy włączonej klimatyzacji, ale to też okazało się niemożliwe – samochody były zaparkowane prawie dwie godziny marszu od osady drwali. Perspektywa codziennego pokonywania tej odległości dawała jej pozorną odporność na

chłód. Ostatecznie zimno przestało być dla niej problemem, kiedy David wytknął jedną oczywistą zaletę niskiej temperatury – brak insektów, od których las roił się w lecie.

Nagle Ed się zatrzymał. Uniósł otwartą dłoń, tym gestem nakazując jej i Davidowi, aby uczynili to samo. Coś zaszeleściło w krzakach. Odgłos ruchu. Jej dłonie mocniej zacisnęły się na kolbie strzelby, ale palec wskazujący nie powędrował na delikatny jęczyczek spustu. Spojrzała na Davida, ale nie potrafiła wyczytać czegokolwiek z jego twarzy. On też to słyszał – trzaski liści, coraz bliższe i bliższe. Dźwięki się nawarstwiały, było już pewne, że zbliża się do nich jakaś grupa. A może raczej stado? Spomiędzy drzew nie było jednak nic widać, zmierzch osiągnął już swoje apogeum, a oczy Joan jeszcze nie dostosowały się do otaczającego półmroku. Miała ochotę krzyknąć, może to, co kryło się pośród drzew uciekłoby, albo przynajmniej by się ujawniło i przestało sprawdzać siłę jej nerwów. Ku zdziwieniu Joan, Ed był osobą, która krzyknęła.

– Brice?! Todd?! Shack?! To wy?!

Z ciemności odpowiedział mu zachrypnięty głos Johna Shacklinga:

– Jasne, a czego się spodziewaliście? Wielkiej stopy?

Zza drzew rozległ się przytłumiony śmiech Teda i Briana. Po chwili wyszli z ukrycia, każdy w pomarańczowej, odblaskowej kamizelce i mundurach w rozmaitych kamuflażach. Ted jak zwykle miał na głowie zakrywającą początkowe stadium łysienia czapkę-patrolówkę, a John bandanę zwiniętą w opaskę, którą zawiązał na czole, stając się w ten sposób jedyną w swoim rodzaju żywą parodią Rambo. Każdy z nich trzech miał półautomatyczny karabin z lunetą, oraz plecak pełen sprzętu dla którego nie potrafili znaleźć praktycznego zastosowania.

– Poszczęściło się wam? – zapytał Ted, poprawiając czapkę.

– Ani trochę – odparł automatycznie David, uśmiechając się na ich widok. Szczególnie lubił towarzystwo tych ludzi, zawsze mówił, że poza byciem fatalnymi myśliwymi, to naprawdę fajni goście. Chyba miał do nich słabość z racji wykształcenia i ich sposobu bycia. Studiował po to, aby właśnie stać się kimś takim, jak oni. Joan nie wiedziała, czy traktować to z przymrużeniem oka, czy wyperswadować Davidowi taki styl życia.

- My też nic nie dopadliśmy. Chyba obraliśmy złe tereny.

- Wracacie do osady? - spytał John.

- Tak, dziś już na nic nie trafimy - odpowiedział Ed.

- Zabierzemy się z wami, jakieś pół godziny temu wpadliśmy na Ratnerów i Jenkinsa, też nie mieli szczęścia. Odstrzelili jakiegoś gryzonia, nic więcej. Pewnie już rozpalili ognisko - rzekł Brian, ściągając okulary i wkładając je do kieszeni. Był to znak, że dziś nie będzie już próbował do niczego strzelać.

Bogatsi myśliwi, jak na komendę, założyli karabiny na ramię i rozpoczęli pochód w stronę osady. Nim dotarli na miejsce, na niebie pojawił się sierp księżyca, a gdzieś w oddali zaczęło rozlegać się głębokie pohukiwanie sowy. Joan była zawsze zaskoczona, jak innym udaje się znaleźć drogę powrotną, dla niej brak było w lesie jakichkolwiek szczegółów ułatwiających orientację w terenie. Żadnych ścieżek, tak naturalnych, jak i tych wydeptanych przez częste przemarsze. A nawet, jeśli były, to przykrywała je gruba warstwa uschniętych liści. Nie miała wątpliwości - zgubiłaby się tutaj.

Po kilkudziesięciu minutach marszu łowcy dostrzegli w oddali świetlisty punkcik, mogący być tylko i wyłącznie ogniskiem. Ich ogniskiem. Nie minęło wiele czasu, nim zobaczyli za drzewami zarysy chat i przechadzające się pomiędzy nimi postacie. Gdy Joan wyszła spośród drzew, szybko zorientowała się, że wszyscy pozostali byli już na miejscu, nawet stary i wąsaty Richard Usher, który zawsze najdłużej polował. Chyba dzięki temu uzyskiwał najlepsze rezultaty w łowiectwie, na nieszczęście innych, gdyż, jako że polował samotnie, zazwyczaj musiał mu ktoś pomóc z przeniesieniem co większego zwierzęcego truchła do obozu. Zazwyczaj robił to Ed, ale nie zawsze był pod ręką i musiał zajmować się tym ktoś inny. Richard zdawał się być jedyną osobą, z którą Ed dobrze się dogadywał, nie było w tym nic dziwnego. Poza podobnym wiekiem łączyła ich wspólna służba wojskowa, o której jednak nie chcieli opowiadać przy ognisku. Szóstka myśliwych zastała Richarda przy ognisku, na które kładł garnek. Jako pierwszy w osadzie zwrócił uwagę na ich przybycie.

- Są już! - głośno zawołał, przyzywając tym wszystkich do ogniska.

- Co tam macie, Rich? - zapytał Ed, wskazując okrągły i niesamowicie ciężki jak na swoje rozmiary żelazny garnek

- Gulasz z zająca, według przepisu Richarda Uchera. Po prostu palce lizać – powiedział naśladując Pułkownika Sandersa z reklamy KFC, budząc tym powszechną wesołość.

- Moja zdobycz – powiedział nadchodząc Tom Ratner, barczysty sprzedawca sprzętu AGD, o łagodnej twarzy i takim samym usposobieniu. Za nim szła jego rodzina, wyraźnie z niego dumna. Rozłożyli koce i usiedli obok ciepła ognia, chłonąc je. Zaczynało się już robić zimno.

Wszyscy nowoprzybyli, za wyjątkiem Eda, poszli do swoich chat, zostawić sprzęt i wziąć koce oraz jakieś jedzenie.

Ktoś budujący trzy drewniane domy stanowiące osadę drwali, ulokował je w taki sposób, że stanowiły wierzchołki niewidzialnego trójkąta, z wejściami skierowanymi ku jego centrum, którym było obłożone dookoła kamieniami palenisko. Pomiędzy chatą, w której mieszkali bogaci i wykształceni, a tą zajmowaną przez Ratnerów i Jenkinsa, stała duża drewniana szopa, mieszcząca stary generator napędzany ropą naftową. Prąd elektryczny, który zapewniał, służył głównie do zasilania oświetlenia wewnątrz budynków. Nie było sensu używać go w innym celu – Brian opowiadał, jak parę lat temu przywiózł tu telewizor i radio, chcąc obejrzeć pomiędzy polowaniami pewien ważny mecz. Okazało się, że radio nie odbierało żadnych fal, a ustawianie anteny telewizora nie pozwoliło złapać żadnej stacji. Osada drwali była miejscem kompletnie odciętym od świata.

Joan najbardziej niepokoił brak zasięgu telefonów komórkowych. Pośród lasów były bezużyteczne. Aby połączenie doszło do skutku trzeba było udać się na odległy prawie półtorej godziny drogi stąd pagórek za lasem. Chodzili tam tylko Brian i Ted, których profesje zmuszały ich do regularnego kładzenia dłoni na pulsie. To odcięcie od świata napełniało szczególnym niepokojem Davida. Kiedyś zwierzył się Joan ze swojego największego lęku – wypadku przy polowaniu w tych lasach. Wtedy tylko apteczka pierwszej pomocy była czymś pewnym, ale nie uspokajało go to. Nie uspokajał go nawet Ed, który w armii był sanitariuszem i jednocześnie jedyną osobą wśród myśliwych wiedzącą, co zrobić w przypadku postrzału. Całe szczęście David rzadko przypominał sobie o możliwości łowieckiego wypadku, ale Joan czasami spoglądając na niego nocą, gdy leżała obok w pokoju chaty, którą wynajęli, widziała

jak jego ciało drży, targane nocnymi marami. Budziła go wtedy, a on niemal ze łzami w oczach wodził wzrokiem po skąpej przestrzeni pomieszczenia.

Wnętrza chat były podzielone na trzy skromnie wyposażone pomieszczenia. Dwa największe był pokojami mieszkalnymi, zaś trzeci stanowiła mała łazienka z toaletą. Ściana oddzielająca główne pokoje, pierwotnie nie istniała, została wstawiona dopiero, gdy domy zostały przeznaczone pod wynajem dla myśliwych. Właśnie ta jedna ściana była największą wadą konstrukcyjną budynków. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest ona nowością, w dodatku wprowadzoną dość pośpiesznie. Wydawała się niesolidna i brzydka, a co gorsza była cienka i wcale nie izolowała akustyki jednego pokoju od drugiego. Pierwsza noc była dla Joan koszmarem, za sprawą regularnego chrapania dochodzącego z pomieszczenia zajmowanego przez dwóch starszych mężczyzn. Do tego łóżka były niewygodne i ciężkie, Joan musiała poprosić Georga Jenkinsa o pomoc w zsunięciu ich tak, aby mogła w nocy spać przytulona do swojego narzeczonego.

Właśnie na tych łóżkach położyła swoją strzelbę, a obok niej rzuciła odblaskową kamizelkę. David, jak na wzór schludności przystało, powiesił swoją broń na dwóch gwoździach wbitych w ścianę, uprzednio ją rozładowując, a następnie owinał na niej odblaskową kamizelkę.

- I jak ci się tu podoba? - zapytał niespodziewanie. Przyjeżdżał tu z ojcem od dzieciństwa i to był jego pomysł, aby zabrać tu Joan. Odkąd jego ojciec umarł dwa lata temu na raka płuc, nie ciągnęło go w te strony, jak dawniej. Brakowało mu motywacji, nawet pomimo regularnie przybywającej tam ekipy, z którą zdołał się zaprzyjaźnić. A przecież kochał tę atmosferę! Przez to czułby się winny, gdyby Joan nie spodobało się tu. Stałaby się wtedy zwykłym pretekstem do przybycia w te lasy i próby na nowo rozpalenia w nim tego hobby..

- Jest naprawdę wspaniale - powiedziała, całując go w policzek. - Cieszę się, że mnie tu zabrałeś. - Oddał jej pocałunek, tym razem w usta.

- Chodźmy na zewnątrz coś zjeść. To uganianie się po lasach zaostrza apetyt.

- Tak szybko się zmęczyłeś? Chyba pošlę cię na siłownię, żebyś za dwadzieścia lat nie wyglądał jak Ted, Brian i John, bo będziesz wtedy musiał mieszkać z nimi w chacie, akurat mają jedno wolne miejsce - powiedziała zadziornie.

- Bo żona Briana jest w ciąży. Zazwyczaj przyjeżdżali razem - odparł David, nie dając się wciągnąć w droczenie. - Kocyk? - zapytał, wyciągając jeden z jedynej w pokoju szafy. Skinęła głową, a on jej go rzucił, posyłając w powietrze chmurę kurzu. Chwilę później wyszli na zewnątrz.

Wszyscy siedzieli wokół ogniska, za wyjątkiem Eda, Richarda i Georga, którzy stali na skraju lasu i rozmawiali. Usher miał na sobie myśliwską kamizelkę, a w dłoni trzymał broń, było jasne, że zamierza ruszyć na nocne polowanie. Joan szturchnęła łokciem Davida i wskazała mężczyzn.

- Czasami Richard lubi pójść na łowy nocą. Można wtedy ustrzelić inne gatunki zwierząt.

- Ale to musi być niebezpieczne - powiedziała z niepokojem, polubiła Richarda. W przeciwieństwie do Eda, był uprzejmy i spokojny. Do tego został pobłogosławiony naprawdę dobrym poczuciem humoru i cierpliwością. Pokazał jej, jak należy trzymać broń, kiedy David ze zrezygnowaniem załamywał ręce.

- Richard jest z nas najlepszy, nic mu nie grozi. Zwłaszcza, że jesteśmy wszyscy tutaj. Zwierzęta nie mogą go przypadkiem postrzelić. - Spróbował się uśmiechnąć, ale mu to nie wyszło. Efekt był groteskowy. - Jeśli się zgubi, co w jego przypadku jest niemożliwe, to poczeka do rana, a wtedy znajdzie drogę, albo my go odszukamy. Nie ma obawy. - W końcu udało mu się wykrzesać na twarzy uśmiech. To na chwilę uspokoiło Joan, ale nie mogła się powstrzymać przed spojrzeniem na las. Z bezdennej czerni pomiędzy drzewami na pewno obserwowały ją setki leśnych istot i na pewno nie wszystkie były szczęśliwe z obecności człowieka na swym terenie.

Na bezlistnej gałęzi drzewa siedziała postać i zastygła w bezruchu przypatrywała się ludziom powoli gromadzącym się przy ognisku. Nie mogli jej dostrzec w ciemności, mimo iż znajdowała się na jednym z drzew na skraju obozu. Za to ona z największą dokładnością, na jaką pozwalały jej przywykłe już do mroku oczy, widziała ich. Uwagę postaci najbardziej przykuło trzech mężczyzn zbliżających się do lasu. Podeszli niebezpiecznie blisko. Ze swojego punktu obserwacyjnego była w stanie dokładnie im się przyjrzeć, zorientować się, kim są. Kilkudniowa obserwacja tej grupy po-

zwaląca rozróżnić poszczególnych jej członków. Ocenic ich technikę łowiecką, czy nawet odporność psychiczną.

Kiedy stary mężczyzna, z gęstymi siwymi wąsami, najbardziej doświadczony człowiek w grupie, zanurzył się pośród drzew, by zapolować na zwierzęta prowadzące nocny tryb życia, obserwator bezszelestnie zszedł z drzewa i szybko, ale ostrożnie ruszył w głąb lasu.

- Jednak wolę wędkowanie - wyznał siedzący przy ognisku Tom Ratner, dzisiejszy król polowania. - To jest wymagające zajęcie.

- Żartujesz? Jak całodniowe siedzenie z piwem nad rzeką można nazwać wyzwaniem? - zdziwił się Ted. Był owinięty w koc, w dłoni trzymał butelkę Heinekena. - Jasne, to kwestia cierpliwości, ale nie da się przy tym zmęczyć. No i jest małe ryzyko, że jakaś ryba odgryzie ci głowę.

- Zgadzam się. To jak polowanie z ambony. Zero emocji - wtrącił Brian Todd, przecierając okulary skrawkiem koszuli.

Ratner się zaśmiał:

- Już widzę, jak wy zakładacie robaka na haczyk - rzekł z przekąsem. - Ale masz rację, wędkarstwo to próba cierpliwości. I to jest najtrudniejsze. Komu chce się spędzić pół dnia nad wodą, tylko po to, żeby móc się chwalić kumplom, że złapał ta-aaaką rybę? Do tego potrzebne są odpowiednie uwarunkowania osobowości.

- Jasne, to pewne. Ale ja mam prawo się nie zgodzić - zripostował Ted.

Żona Toma z dłonią owiniętą ścierką, aby się nie sparzyć, podniosła pokrywę garnka i zajrzała do środka.

- Mięso już chyba gotowe - oznajmiła, do garnka zbliżył się Ed i powąchał, po czym skinął głową. Syn Ratnerów poszedł po talerze i sztucce.

Jak tylko zdjęto kociołek z paleniska, dołożono do ognia kilka równo ociosanych przez brodatego Jenkinsa kawałków drewna. George, mimo iż głównie zajmował się tworzeniem mebli, to siekierą posługiwał się z wprawą rasowego drwala. Wszyscy z talerzami na kolanach, po kolei nałożyli sobie porcję gulaszu. Kolacja była skromna, ale pożywna. Tak naprawdę danie składało się w głównej mierze z ziemniaków,

z jednego zająca nie dało się uzyskać satysfakcjonującej porcji mięsa. Jak zwykle w trakcie posiłku zaczęły się rozmowy, które miały trwać do późnej nocy.

- Czy to prawda, że w tych lasach są wilki? - z podekscytowaniem zapytał Billy Ratner, niski, rudy dzieciak o okrągłej, pokrytej wysypką piegów twarzy.

- Tak słyszałem, kiedy zatrzymałem się po drodze na stacji benzynowej - odpowiedział spokojnie Jenkins, tak jakby nie do końca wierzył w to, co mówi. - Wydaje mi się to nawet prawdopodobne. Takie lasy. Wilki by do nich pasowały.

- Tu nie ma wilków, synu - zwrócił się do syna Tom Ratner. - Kiedyś tu mieszkały, ale zagryzały zwierzęta hodowlane farmerów, więc ludzie wybili je, co do jednego. W tych lasach nie ma nic niebezpiecznego.

- Wiedzieliście, że to kiedyś było terytorium indiańskie? - Do rozmowy włączył się John Shackling.

- O nie, znowu zaczyna! - roześmiał się Ted. - Odkąd tu przyjechaliśmy, katuje nas tymi anegdotami historycznymi, które wyczytał w jakimś przewodniku.

- Wyczytałem je w poważnych książkach, a teraz się zamknij, bo widzę, że ludzie się zainteresowali. - I tak rzeczywiście było, wszyscy myśliwi wpatrywali się w Johna z zaciekawieniem. Ted uniósł dłonie do góry, w geście poddania się. Shackling kontynuował wątek, który rozpoczął. - Tak. Kiedyś żyło tu indiańskie plemię, ale wypędzili je osadnicy. Głównie drwale, kiedyś było ich tu więcej niż można pomyśleć patrząc na tę niby-osadę. Nigdy tak naprawdę nie ustalono, jakie to było plemię. Kilka lat temu była tu nawet ekspedycja archeologiczna, kopali tu i tam. Wiecie, co odkryli?

Wszyscy zamilkli w pełnej napięcia konsternacji, którą przerwał Ted.

- Gdzieś w tych lasach był położony cmentarz indiański. Howgh!

- Dzięki za zepsucie suspense. Zawsze mogę na ciebie liczyć, Ted.

- Jakiego suspense? - wtrącił się Brian, po czym z szerokim uśmiechem na ustach ironicznie zwrócił się do wszystkich zgromadzonych wokół ogniska. - Boicie się Manitu?

Rozległy się tłumione chichoty. Joan zauważyła, że ten należący do Georga Jenkinsa był podszyty nerwowością. Czyli niektórzy bali się zemsty indiańskich du-

chów. George wyglądał na kogoś, kto jedną ręką położyłby każdą zmore, niezależnie jak wielką, czy fantastyczną. Dziwne, że to on okazał się zabobonny.

- Gdzie był ten cmentarz? - dopytywał się Billy, którego informacja o tym miejscu wyraźnie porwała.

- Chyba dość daleko, ale nie mam pewności. Przyjeżdżamy tu co rok, a nie widzieliśmy żadnych śladów wykopalisk. Z takimi tropicielami, jak Richard czy Ed, nie moglibyśmy ich przeoczyć.

- Przestań smarować - chrząknął Ed.

Nagle odezwała się Amanda Ratner, która jak dotąd cicho przysłuchiwała się konwersacji, tak jakby czekała na moment, by się do niej włączyć ze swoją rewelacją.

- Chcecie suspensu? Zaraz wam opowiem, o czym się dowiedziałam na stacji benzynowej...

- W Rodger's Hall? - zapytał Jenkins, ona mu przytaknęła. - Uwielbiam tamto miejsce, najlepsze źródło informacji na temat okolicy.

- Co nie zmienia faktu, że nie ma tu wilków - zgryźliwie rzekł Ed.

- Może i nie ma wilków, ale w okolicy zaginęło parę osób - powiedziała Amanda.

- Podobno na północ stąd zaginęła grupa myśliwych.

- Bzdura - po raz kolejny odezwał się Ed. - Nikt nie zaginął, jakby tak było, to roiłoby się tu od straży leśnej. Po prostu grupa facetów przyjechała tu, urządziła popijawę i w jej trakcie musiała zapuścić się daleko w las. Pewnie szli, aż dotarli do najbliższej wiochy, gdzie od razu w barze urządzili kolejną libację.

- Jack, właściciel stacji benzynowej, mówił co innego

- Jack jest już stary i za dużo pije. A w dodatku nie dba o siebie i starość zaczęła nim rządzić. Poza tym, cholernie się nudzi na tej stacji. Czasami coś usłyszy od przejeżdżających, ubarwia to i posyła dalej, w swojej wersji. Nie zdziwiłbym się, gdyby historię o zaginionych myśliwych usłyszał od nich samych, kiedy kupowali kolejne browary.

- No i suspens umarł, nim się narodził - powiedział Tom, obejmując ramieniem żonę, potem rozmowa zeszła na bardziej klasyczne tematy takie, jak praca, rodzina i polityka. Joan mimo to była nieobecna myślami, zdawało jej się, że usłyszała więcej niż chciała. Wilki. Cmentarz. Zaginieni. Nawet, jeśli nic z tego nie było prawdą, to

budziło to w niej lekki, irracjonalny niepokój. Za dużo książek Stephena Kinga – pomyślała, aby poprawić sobie nastrój. Ten argument pomógł, ale tylko na jakiś czas, bo gdy ogień w palenisku wygasł, a ludzie udali się na spoczynek, ona leżąc przytulona do Davida miała koszmar. Koszmar o byciu zagubioną w ciemnym lesie i tropioną przez nieokreślone zło.

Dwa cienie stały nad ledwie widocznymi w jasnym świetle księżyca śladami butów. Trop był świeży, niedługo powinni dostrzec mężczyznę, którego tropili. Był doświadczony, poruszał się cicho, miał broń i pewnie coś zwanego szóstym zmysłem, ale nie bali się go. Strach był ich narzędziem. Gdyby śledzony mężczyzna wiedział, kto podąża za nim, popadałby w obłęd ze strachu, albo zwróciłby broń ku swojej siwej głowie i pociągnął za spust, by oszczędzić sobie tego, co miało niebawem nastąpić.

Cienie jednym rytmem ruszyły przed siebie, kroczyły płynnie, pewnie, a przede wszystkim cicho. Gdy doszedł do nich chrzęst liści, który rozległ się parę metrów przed nimi, zwolniły tempo, niemal skradając się niczym drapieżne zwierzęta. Niczym pumy, niczym wilki. Po zdających się godzinami minutach, pojawił się przed nimi zarys Richarda Ushera. Odblaskowa kamizelka była dobrze widoczna w nocy, miała chronić myśliwego przed wypadkiem. Tym razem miała przyczynić się do jego zguby. Lufa boni, którą trzymał w dłoniach była zwrócona ku ziemi. Niczego się nie spodziewając, stał plecami do swoich prześladowców, którzy nieubłaganie, metr, po metrze zbliżali się do niego.

Spis treści:**Rozdział 1****Sezon łowiecki..... 4****Rozdział 2****Najgroźniejszy istniejący gatunek 17****Rozdział 3****Zasadzka 37****Rozdział 4****Połowanie 54****Rozdział 5****Ich czas dobiega końca 77**



Maciej Mielus

Urodziłem się w 1988 roku w Chrzanowie (województwo małopolskie), studiuje filologię polską na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach i od dawna pragnęłam być pisarzem. Być, a nie bywać. Nie pamiętam, kiedy zrodziło się to pragnienie, ale wiem, kto je we mnie zaszczerpił – byli to Edgar Allan Poe, Stephen King, Dostojewski, Marquez, Witkacy, Gombrowicz, Uniłowski i cała plejada innych pisarzy, którymi się zaczytywałam odkąd pamiętam. Nie było chyba dla mnie innego wyjścia – musiałem sam zacząć tworzyć.

W swojej działalności pisarskiej nie ograniczam się do tworzenia tylko w zakresie jednego gatunku, stawiam na różnorodność. Część moich projektów literackich to powieści i opowiadania obyczajowe, psychologiczne lub melodramaty - rzeczy oparte na moich codziennych obserwacjach i doświadczeniach, często w dużym stopniu autobiograficzne, angażujące czytelnika emocjonalnie lub (a czasami, zarówno) intelektualnie. Inne zrodziły się z mojej fascynacji literaturą „lekką”, tą postrzeganą jako komercyjną i czysto rozrywkową. Są to przede wszystkim horrory, thrillery oraz kryminały – wszystko, co ma na celu zapewnić czytelnikowi jak największą przyjemność z czytania.

Swoim debiutem literackim w formie e-booka (powieść *Szklane Serce*) zasiałem swoją karierę pisarską. Na bieżąco dbam, by coś z niej wyrosło - w chwili obecnej, w wolnym czasie, pracuję nad nowym projektem – powieścią obyczajową *Na południe od nieba*.

Patronat medialny

